

RODZINA

PISMO POŚWIĘCONE WYCHOWANIU I NAUCE DOMOWEJ

Nr. 1.

Bezpłatny dodatek

1933

Na Nowy Rok

Jak słońce, rankiem wstając z pościeli,
Wszystkich raduje, wszystkich weseli
I w przygnębione serca i duchy
Wlewa ożywczy promień otuchy. —
Tak i rok nowy, schodząc do ludzi,
Nowe nadzieje wokoło budzi.
Podnosi duchy i serca krzepi,
Że jakoś będzie na świecie lepiej.

Tak, będzie lepiej! Lecz nie z obłoku
Soadnie nam pomoc w tym nowym roku,
Tylko, jak iskrę z krzemienia jasną,
Trzeba ją pracą wydobyć własną.
Rak nie opuszczać, gdy się źle dzieje,
Rozbudzać w sercu wiarę, nadzieję,
Nie iść omackiem jak ludzie ślepi. —
A wtedy wszystkim nam będzie lepiej.

Wtedy się życie jasno ułoży,
Bo spocznie na nim święty duch Boży. —
Wtedy się dola nasza poprawi,
Bo krzepkim duchom Bóg błogostawi.
I nie będziemy, jak to co roku,
Wyglądać cudu ze łzami w oku.
Bo skarby Boże leżą przed nami,
Lecz je musimy zdobywać sami!

Rozważanie noworoczne

Wędrowiec dąży do domu, do którego ciągnie go silna tęsknota. Stopy jego obolałe od dalekiej wędrówki, ale on tego nie czuje, nie zważa na zimny jak lód wicher, który z różnych stron nań napada. On myśli jedynie o celu, do którego dąży. Zamieć śnieżna grubymi płatami przesłania mu drogę, ale on tego nie widzi, nic nie słyszy, tylko jeszcze więcej przyspiesza kroku, dysząc ciężko. Nagle zmuszony jest przystanąć, jakaś zaporę wstrzymuje jego kroki. Czyżby już był w domu, czyż znajduje się przed bramą swego domu? Narazie nie może niczego rozpoznać, lecz wtem tuman śniegu się rozdziela i człowiek może się rozejrzeć po

okolicy. Widzi, że nie znajduje się przed swym domem, do którego tak tęsknił i pędził, tylko jakiś obcy zimny mur przecina mu drogę. Co teraz począć? Z gniewu zazgrzytał zębami i zbołatemi nogami tupnął kilkakrotnie o ziemię zlodowaciałą, gdyż niespodziewany zawód serce jego napętnia oburzeniem na myśl, że będzie trzeba zawrócić i poszukać innej drogi, któraby go doprowadziła do domu. Ma tylko dwie możliwości przed sobą. Głowa muru nie przebija, więc chyba zaniecha dalszego dążenia, ułoży się pod murem do spoczynku i przytuliwszy się doń, nieco odetchnie, aż mróz, ścinający wszystko dokoła w lód skamieniały, i krew w żyłach jego zamrozi. Albo też zdobędzie się na ostatni wysiłek i powlecze się z powrotem na miejsce, gdzie się drogi rozchodziły, i puści się inną, jedynie właściwą drogą ku domowi...

Czyż my wszyscy nie jesteśmy takimi wędrowcami tu na ziemi? Im większy zamęt i hałas nas przejmują i przerażają, tem silniejszym, nieprzepartem stanie się pragnienie naszej duszy, by dostać się do domu. Jakaś niepojęta, ogromna moc ujmie nas i pcha nas naprzód. Gdzież w tej ustawicznej walce życiowej pozostało nasze serce? Ono osłabło i boleje, zabrakło mu sił ducha, które mu są potrzebne do odnalezienia jedynej prawdziwej, odwiecznej ojczyzny. Gdzieś się zapodziała równowaga między duszą a ciałem, nigdy myślami ziemskimi a nadziemskimi? Niepokojące moce otaczającej człowieka teraźniejszości zapędziły w zaułk wyjścia duszę i ani się spostrzegł, jak na drodze do prawdziwej wiecznej ojczyzny znalazł się przed murem, którego nie potrafi przebić, a który zmusza go do powrotu i do odnalezienia właściwej drogi, jaką był stracił z oczu. — Chcąc niechcąc człowiek musi się raz otrząsnąć z tych dążeń czysto ziemskich i wrócić do Boga, do Chrystusa. Zbawiciela świata. Wielu się wzdrzga zawracać z drogi raz bezmyślnie obranej, ale niema rady. Z zaułka w jaki zapędziła ludzkość ustawiczna myśl o ziemskich sprawach, może nas wyprowadzić jedynie droga prawdziwa, którą Chrystus Pan nam wskazał. Z rozpoczynającym się więc nowym rokiem niechaj głośniejszym i wyraźniejszym, jedynem hasłem naszym będzie: Wracamy do Chrystusa, On niech nas dalej poprowadzi!

Złote serduszko

Powieść noworoczna.

Ostatnie słabe promienie grudniowego słońca zagasiły i ciemności nocne zaległy w izbie, w której narazie panowała zupełna cisza, przerywana jedynie tykaniem starego zegara. Po pewnym czasie otwierają się drzwi i z przyległej izby wychodzi kobieta z palącą się lampą w ręku, stawia ją na stole, a sama, wcisnąwszy się w kątek starawej kanapy, zabiera się do narządzania bielizny. Światło z lampy pada na jej twarz o rysach twardych, na oczy, w których widoczny jest wyraz niezadowolenia i surowości. Ciszę, która znowu zapanowała, przerywa słaby, zmęczony głos z izby sąsiedniej, do której drzwi stoją otworem. „Helenko, — woła ktoś z niej z natężeniem, — przyjdź i popraw poduszki... bo się osunęły...”. Ale kobieta przy stole ani się nie poruszyła, tylko czoło jej zamroczyło się jeszcze więcej, chociaż ten, który ją o taką drobnostkę prosił, był jej własnym ojcem. Niestety ciężko choruje już od dłuższego czasu i stąd jest ciężarem rodziny, która nie opływa w dostatki. Kiedy kobieta ani myśli przerywać sobie w pracy ani nawet słowem się nie odzywa, po chwili z izby sąsiedniej dochodzi znowu błagalna prośba: „Helenko, proszę, przyjdź!”. Ale i ta prośba ponowna jej nie wzruszyła. Już chciała opryskliwie odpowiedzieć: „Nie mam czasu!” — gdy wtem otworzyły się drugie drzwi i do izby wpadło miłe dziewczątko. Kobieta spojrzała na nią, ale w oczach jej nie błysnął żaden promień radości i na ustach nie pojawił się żaden uśmiech, chociaż to była jej jedyna córeczka. Dziewczynka powitała się krótko z matką, a potem zaraz pobiegła do dziadka, jakby się domyślała, że potrzebuje pomocy i już o nią prosił. Zaraz też spostrzegła, czego dziadkowi potrzeba, i poprawiła poduszki a potem pogłaskała go po twarzy i po rękach wychudzonych. „Czy tak dobrze, dziadziu?” — pytała. „Tak, moja Marysiu”, — odrzekł starzec z zadowolaniem uciskając rączki wnuczki, która następnie zaraz wróciła do matki, zasiadła przy stole i zabrała się skrzętnie do robienia pończoch. W izbie zapanowało znowu milczenie bo żadna z nich nie mówiła ani słowa, słysząc było tylko chód wahadłowy zegara i od czasu do czasu postękiwanie i ciężki oddech chorego starca. Temu smutno było na duszy, bo wciąż musiał o tem myśleć, że jest ciężarem swemu dziecku, swej jedynej córce a myśleć o tem, to straszna sprawa dla człowieka, który, dopóty sił starczyło, dbał o swe najbliższe osoby z całej duszy, a który w swem położeniu nic już zmienić nie może. Lzy niewypłakane sprawiają większy ból i palą więcej od łez z oczu płyną. To też nic dziwnego, że w duszy jego nurtuje już od dawna jedno gorące życzenie, aby Pan Bóg wnet przerwał koniec takiemu życiu. Ciszę złowrogą przerwało bicie zegara, który wydzwonił godzinę siedemnastą. Z ostatniemi waderzeniami Marysia podniosła głowę i spojrzawszy w zimne, bezduszne oczy matki, pytała nieśmiało, czy pozwoli jej iść do kościoła na zakończenie roku. „Idź sobie, kiedy ci na tem zależy” — brzmiała sucha odpowiedź. Przyzwyczajenie do takiego szorstkiego odzywiania się matki, Marysia odpowiedź ta nie zraziła. Dziewczynka spokojnie złożyła robótkę i odniosła na zwyczajne miejsce, ubrała się w płaszczyk i czapeczkę i już gotowa

była do wyjścia. Zanim jednak dom opuściła, zajrzała jeszcze do chorego dziadka, pogłaskała go po rękach i ucałowała w czoło. Tyle serca u wnuczki sprawiło choremu wielką radość i ulżyło bardzo w cierpieniach. —

Krótko po wyjściu Marysi matka zabrała ze stołu lampę i udała się do innej izby, tak, że w tej, w której dotąd przebywała, zaległy ciemności. Przez wychylone drzwi wpadał tylko mały pasek światła właśnie na zegar, którego wahadło bezustannie chyliło się to w jedną, to w drugą stronę, zmuszając wskazówki do powolnego, ale równomiernego posuwania się naprzód. Choremu, który ze swego łóżka mógł śledzić tę nieustanną czynność zegara, każda minuta wydawała się godziną, a godzina nieskończenie długą. Wreszcie jedna wskazówka doszła do godziny szóstej a druga do dwunastej i w tej chwili zegar wybił sześć razy — dopiero godzinę szóstą! Neco później ktoś z sieni otworzył drzwi do ciemnego pokoju i dały się słyszeć kroki mężczyzny. Przybysz udał się zaraz do izby, w której spoczywał chory, i zapytał go, jak się miewa. „Niedobrze. Staś, bardzo niedobrze, — odpowiedział tenże zaledwie dostyszanym głosem. — Pewno już nie pociągnę długo”. — „Co też ojciec mówi, — zauważył przybysz, który, jak nietrudno się domyślić, był zięć jego. — „Ja mam przeciwnie nadzieję że ojciec wnet wstanie. Z nastaniem nowego roku wszystko się zmieni na lepsze”. To mówiąc, uściśnął swą dłoń żylastą, wychudzoną ręką chorego, a potem, zamknawszy za sobą drzwi, udał się do żony, wciąż szcieniem zajętej. — „Czy był doktor? — zapytał. — „Tak”, — odpowiada ta krótko, nie odrywając oczu od szycia. — „Co powiedział? — pyta dalej mąż. — „Co miał powiedzieć? Zawsze to samo: spokoju, jak największego spokoju i żadnych wzruszeń, dobrej opieki...”. Mimowolnie przy tych słowach przerywa sobie kobieta, bo przypominają się jej słowa lekarza: „Niech pani schorzałemu starcowi stara się jakoś uprzjemnić te kilka dni, które mu jeszcze pozostały do życia, bo nowego roku nie przeżyje długo”. — Słowa te zataiła przed mężem, ale zato dorzuciła po chwili oschłym głosem: „Lepiej przecież już nie będzie. Skądże już brać na te bezustanne wydatki!” — „Niech ciebie o to głowa nie boli, — odrzekł mąż, — to moja rzecz!” — „Gdyby się to już raz skończyło, — odzywała się znowu żona. — Wszystkie nasze oszczędności pożere ta choroba”. — W oczach męża zabłysnęło przyskre zdumienie: już chciał krzyknąć, ale ze względu na chorego podszedł do żony i szepnął: „Wszakże to twój ojciec, który tam leży! — Na to ona: „Toć wiem! Ale jest wielkim dla nas ciężarem”. — Na taki brak serca mężczyzna wyprzedził się i przez zęby zauważył: „Czyż ciebie nie wstyd tak mówić o ojcu?” — Kobieta spojrzała na męża wzrokiem jak lód zimnym i powtórzyła spokojnie: „Czy nie jest tak, jak mówię? Jest nam ciężarem i nie ma mowy, aby mógł wyzdrowieć”. — Dotknięty do żywego mąż wlepił w nią swe oczy gniewne i zdołał tylko wrzecz: „Ty — ty zwierzę!” — a potem wyszedł, rzucił się w kąt starej, twardej kanapy, i począł rozważać. Duszę jego napędliały nad wyraz przyskre, gorzkie jak piołun myśli. „Ta bezlitośna kobieta — to moja własna żona. Gdzie się podziała jej dusza, która się przecież kiedyś inną wydawała! Leżeli na mnie przyjdzie kolej pożegnania się z tym światem, natenczas daj Panie Boże,

abym niedługo chorował. Bo co dzisiaj powiedziałaby o ojcu, o własnym ojcu, mogłaby powiedzieć i o mnie, a tegobym nie przenosił! Z jej zimnego wyrazu oczu mogę tylko jedno wnosić: To, co mówi, jest jej zupełnem przekonaniem; ona się nigdy nie zmieni. — Zresztą nie po raz pierwszy to zauważył że się żona jego z biegiem czasu wielce, ale to bardzo zmieniała. Zrazu wcale była miła i w domu panowała pogodna zgoda, ale powoli, jak liście na jesień, odpadał liść po liściu z tego drzewa wspólnego pożycia i nadziei na przyszłość, ginęło gdzieś z jej serca ciepło. Na krótki czas zagościła się znowu słoneczna radość, gdy Pan Bóg dał im dziecię, Marysię, ale potem nastąpiło ponowne, tem większe oziębienie. Zniknęła z domu pogoda, gasnęły promienie słoneczne jeden po drugim aż zapanowała nieomal zupełna obojętność a oliwy dołało w końcu zachorzenie ojca, który przedtem w domu nie zawadzał wcale. Zmarło w kobiecie wszelkie uczucie, podczas kiedy on sam coraz silniej odczuwał potrzebę serdecznego ciepła w domu, on, który poza domem nie znał prawie świata. A stosunki przykre w domu doszły do szczytu, gdy ojciec żony, niedomagający już od dłuższego czasu, rozchorował się na dobre. Wówczas zdało się, że serce jej zamienno się w glaz, wszelkie uczucie w niej zmarło. Jeżeli kiedykolwiek przedtem miał jeszcze słabą nadzieję, że się to jeszcze zmienić może, ten dzień nauczył go, że zmianę na lepsze musi uważać za najzupełniej wykluczoną. Po kilkunastu latach wspólnego życia widział się zupełnie osamotnionym. Dom nie miał dlań być przybytkiem radosnego spokoju i odpoczynku, tylko miejscem, do którego się człowiek udaje tylko z odrzą, z przymusu. I także smutne, rozpaczliwe myśli musiał w sercu jego zagościć właśnie dzisiaj w ostatni dzień roku!

(Dokończenie nastąpi).

„Stuletni kalendarz“

Od lat kilkunastu uczeni w różnych krajach z wielkiem zajęciem badają powietrze i zapisują skrzętnie każdą zmianę pogody i warunki, w jakich ona nastąpiła, aby móc przewidzieć, jakiego powietrza spodziewać się możemy. — Atoli dotąd badania te nie dały pożądanego wyniku i nie podobna przepowiedzieć na pewno, jakiej pogody spodziewać się należy na następny okres czasu poza najbliższe dwa dni. Mimo to są jeszcze ludzie, zwłaszcza między rolnikami, którzy jak najmocniej są przekonani, że można przepowiedzieć pogodę naprzód na cały rok na podstawie takzwanego „kalendarza stuletniego“. Wedle ich mniemania stan pogody powtarza się co sto lat, zatem potrzeba tylko zajrzeć do odpowiednich zapisów z przed stu lat, aby wiedzieć, jaka pogoda i tego roku będzie. Nie potrzebujemy z pewnością dopiero się rozwodzić szerzej, jak całkiem błędem jest takie zapatrywanie, już dla tego, że wszelkie przewidywania pogody mogą się odnosić tylko do pewnego ograniczonego obszaru ziemi. Wszakże już każdy z nas sam na sobie doświadczył, że nie raz w jednym mieście słońce pięknie przyświeca a w drugiem, położonem w najbliżsem sąsiedztwie, deszcz leje jak z cebra, a nawet w jednym i tem samem mieście zachodzą takie różnice pogody!

Od półtora roku zapisuje się sumiennie dzień w dzień stan pogody, zatem od pół wieku powinniśmy już naprzód wiedzieć, a nie domyslać się tylko, jaka będzie pogoda, gdyby ów „stuletni“ kalendarz opierał się na prawdzie. Tak niestety nie jest. Ponieważ wielu bardzo na tem zależeć musi, aby przedtem wiedzieć, jaka będzie pogoda, zwłszcza rolnikom, chłtzy i przebiegli ludzie poprostu zmyślali sobie stan i zmiany pogody w następnym roku i dołączali do tych przepowiedni dobre rady, co i kiedy ze względu na powietrze przedsięwziąć należy. Czynili to oczywiście z zapałą, każdy na swoją rękę, aż się ta sprawa zajął pewien zakonnik, nazwiskiem Knauer, i około roku 1630 na podstawie rzekomo astrologicznych badań i niejasnych pojęć, ale w najlepszem przekonaniu, zestawił tak zwany kalendarz wieczny. I on jednak miał przytem na oku tylko klasztor w którym żył, i najbliższą okolicę a dopiero pół wieku później pewien wydawca kalendarzy przejął ten „wieczny kalendarz“ i zastosował go do potrzeb swych odbiorców, dodając pewne tajemnicze i dwuznaczne uwagi, aby mu nikt nie mógł zarzucić, że zmyśla. Otóż te jego kalendarze sprawiły, że w ludzie zachowało się do dziś dnia przekonanie, że ze stuletniego kalendarza można się z całą pewnością dowiedzieć, jakiej pogody przez cały rok spodziewać się możemy. — a to przekonanie, jak powiedzieliśmy wyżej, jest zupełnie mylne.

Prawdziwe szczęście

(Dokończenie).

W oczach pani Łuczkiewiczowej pojawiły się łzy po odejściu nauczycielki, uczucie serdecznego żalu, że Pan Bóg odmówił jej dzieci, wzięło nad nią górę do tego stopnia, że klękała przed szafeczkę w kątku i z niej wydobywać koszulki, pończoszki, czapeczki, które kiedyś była zakupiła, gdy spodziewała się pierwszego dziecka. Niestety dzieciatko zmarło już w kilka dni po narodzeniu. Widok tych przedmiotów tak ją rozczulił, że rozpłakała się na dobre. Wtem znowu ktoś zadzwonił u wejścia i pani Łuczkiewiczowa zaledwie zdolała otrzeć łzy z oczu, gdy do pokoju weszła jedna z pielęgniarek, jakie gmina stale utrzymywała. Po przywitaniu znajomej sobie pielęgniarki, której blada twarz była dowodem nieprzespanej nocy i ciężkiej pracy w usługach społeczeństwa, pani domu siegnęła po kluczyki od biurka, pytając równocześnie przybyłej: „Siostra z pewnością przychodzi z prośbą o zapomogę pieniężną na obdarzenie biednych na święta?“ — „Nie. — brzmiała odpowiedź. — „dzisiaj mam na sercu inną, bardzo wielką prośbę. Oto czy pani nie zna może kogo, któryby chciał i mógł mnie zastąpić choć na kilka godzin, w czuwaniu przy chorującej tej nocy? Dwie siostry pielęgniarki zachorowały, a ja sama już dłużej nie podołam pracy.“ — Pani domu zamysliła się na chwilę, a potem, poczynawszy pielęgniarkę kieliszkiem wina na orzeźwienie, z pewnem zakłopotaniem odrzekła: „Z pomiedzy moich znajomych bodaj nikt się do tego nie nadaje i nie ma też czasu potem. Ale ja sama... pomogłabym chętnie... jeżeli można...“ Na twarzy pielęgniarki ukazał się wyraz wielkiego zadziwienia, zdawało się, że nie wierzy własnym uszom.

aby to, co w tej chwili słyszała, było prawdą, istotną prawdą. — „Nie wiem właściwie, co na to powiedzieć. — odrzekła wątpiac siostra-pielegniarka. — „Podziękowałabym serdecznie za niespodziewaną pomoc, ale czy pani, nienawykła do ciężkiej pracy, wogóle podałaby uciążliwemu czuwaniu przy chorych, do tego wśród nocy?” — Pani Łuczkiewiczowa zaczerwieniła się, wyczuwając w tych słowach pewien zarzut, którego pielegniarka nie miała wcale na myśli. — „To prawda, — zauważyła, — ale ja bym jednak chętnie raz spróbowała. Mam przecież aż nadto wolnego czasu i właśnie w ostatnich dniach uczuwałam potrzebę zajęcia się jaką pracą. Proszę spróbować ze mną, jestem przecież jeszcze młoda, silna i zdrowa. Czemu nie miałabym podjąć pracy którą wykonywać muszą osoby starsze i słabsze ode mnie?” — „Prawda, ale posługa przy chorych to nie żarty, może być przykra.” — „Nie wątpię o tem. — obstawała pani Łuczkiewiczowa. przejęła nawskroś swem postanowieniem.” — „Pokaże mi siostra, co i jak zrobić potrzeba, a ja już dopilnuję, aby wszystko było w porządku. Tylko proszę, bardzo proszę przyjąć moje usługi, bo ja bez właściwego zajęcia już dłużej nie wytrzymam.” — Słowa te przeskonały siostrę pielegniarkę o mocnem postanowieniu pani Łuczkiewiczowej, podziękowała więc jej serdecznie za pomoc, zadowolona, że w ten sposób równocześnie wyrządziła i jej przysługę.

W wilgotnej piwnicy tylnego domu mocował się ze śmiercią biedny murarz który przed trzema dniami spadł był z rusztowania. Jego ręce poruszają się niespokojnie po szarej kołdrze, którą jest nakryty, a z ust jego wychodzą jakieś niezrozumiałe słowa. Biedny człowiek nie może umrzeć, bo go jakaś myśl dreczy. Pani Łuczkiewiczowa pochyla się nad jego głową i usiłuje się dorozumieć treści słów niezrozumiałych, jakie usta jego szepczą, ale podaremnie. Wtedy chory wskazuje reka do kąta gdzie w starym dopuszczonem łóżku śpi troje dzieci otulonych w lachmany. O nie to on sam dbać musiał obok swej pracy, która mu dawała tylko lichy zarobek, bo matka ich, a żona jego zmarła już kilka lat temu. Troska o ich los, zwiększając bóle cielesne, nie daje mu oto zamknąć powiek na zawsze. Na widok tych trojga pani Łuczkiewiczowa aż zadrżała ze współczucia. Nie namysławiając się dopiero długo, zwraca się do biednego ojca i, zrozumiałwszy przyczynę jego niepokoju do niego rzecze: „Ja zajmę się nimi jak matka. Przysięgam to święcie, a Bóg świadkiem, że dotrzymam przysiężczenia.” Po tych słowach na twarzy konającego zajaśniał błogi uśmiech, ostatni, bo zaraz potem żyć przestał. — I tak pani Łuczkiewiczowa niespodziewanie stała się odrazu matką trojga dzieci.

Wreszcie nadszedł dzień wigilijny. Po raz bodaj pierwszy zdawało się pani Łuczkiewiczowej, że jej zabraknie czasu. Nasamprzód zakupiła mnóstwo drobnych podarków dla szkolnych dzie-

ci starej nauczycielki, która się oczywiście wielo ucieszyła otrzymawszy od niej dla swych biednych dzieci tyle podarków, co nigdy przedtem. Następnie wystarała się o umieszczenie starej roznosicielki gazet w domu chorych, zaopatrzwszy ją zarazem w cieplejszą odzież i inne potrzebne przedmioty. A już najwięcej czasu zajęło pani Łuczkiewiczowej opatrzenie trojga dzieci, które wzięła do siebie na wychowanie. Biedactwa dosłownie niczego nie miały na sobie, coby nazwać można odzieżą, trzeba więc było je ubrać od stóp do głów. Ile to sklepów musiała odwiedzić, aby wreszcie nakupić wszystkiego! A tymczasem w domu stara praczka myła i czyściła dzieci, które bodaj dawno już nie były myte i wciąż jeszcze były nieśmiałe, nie przyzwykłe do tego, aby się niemi tak troskliwie zajmowano. Gdy pani Łuczkiewiczowa zmęczona bieganem ale rażna na duchu i ciele, wreszcie wróciła do domu, jedna ze znajomych pani telefonicznie zapylała się jej, czy jak zwykle przybędzie na koncert, który właśnie tegoż wieczora miał się odbyć. Po raz pierwszy usłyszała ku zdumieniu swemu odpowiedź, że przybyć nie może, bo nie ma czasu! Istotnie nie miała też teraz czasu, bo było o czem myśleć w domu a pozątem cieszyła się już naprzód na radość swoich trojga wychowanków, gdy zobaczą choinkę żarzącą się od świece i barwnie przystrojoną, z aniołkiem u szczytu i z rak swej dobrodziejki odbiorą zabawki, o których przedtem ani pomyśleć nie mogły.

W całym domu zapanowało nowe życie, nowy duch natchnął wszystkich, a nazajutrz wraz z całym światem chrześcijańskim radośnie obchodzono wielkie święto Bożego Narodzenia.

RADY DOMOWE

Dobry sposób wytepienia robaków, tóczących drzewo. Pół gramów kwasu karbolowego (wielka trucizna) rozpuścić w 100 gr. wody i rozczynem tym zalać cienką strzykawką dziurki, wyłobione przez robaki. Potem zalepić dziurki zwykłym kitem szklarskim. Zabieg ten należy powtarzać kilkakrotnie, dopóki będą ślady trocin na ziemi. Znak to bowiem że robaki jeszcze żyją.

Przy meblach trzcinowych nazbyt rychło zluźnia się trzcina u nóg. Początkowo można trzcinę wówczas przyczepić matami gwoździakami, później, gdy szkoda staje się większa, można nałożyć na nogi mebli paski skórzane. Można do tego użyć wewnętrznej skórki z starego kapelusza męskiego, którą należy pokrajać w paski 4 cm. szerokie i zeszyć z lewej strony gestym ścięgiem, naciągnąć takie mankiety na nogi mebla i przytwierdzić je matami gwoździakami. Nogi krzeseł i stołów zyskują tym sposobem na wyglądzie, a trzcina się nie zluźnia tak łatwo jak bez tej ochrony.